Cena numeru 10 zł.

RÓZGI
BIJĄ CO TYDZIEŃ

Rok I | 20 Październik 1946 | Nr 11

NIEKTÓRE SPÓŁDZIELNIE WPROWADZIŁY OSTATNIO WŁASNE ODZNACZENIA



Rys. HENRYK TOMASZEWSKI

– W uznaniu wielkich zasług dekoruję pana złotym medalem!

– Jaki on tam złoty, lipa!

– A pańskie zasługi to niby – co?

JAN BRZECHWA

POEMAT

Dyrektor Urzędu Improwizacji
Któregoś dnia do mnie rzekł nie bez racji:
„Obywatelu literacie,
Polskę macie, mieszkanie macie,
Piszcie, bo masom potrzeba
Literatury, jak chleba".

Wytrzasnąłem więc z rękawa problemat,
Problemat wziąłem za temat
I napisałem poemat.

Ale cóż, kiedy niestety,
Nie jest łatwe zadanie poety.

Powiedziano mi bowiem w urzędzie,
Że jestem cokolwiek w błędzie.
Że nie odmawiają mi, wprawdzie, talentu,
Ale wiersz żebym zmienił, ot ten tu.
A także ustęp wstępny
I również ten następny,
I tę drugą połowę,
I cztery wiersze końcowe.

Przerobiłem więc cały poemat,
Lecz wyłonił się nowy dylemat,
Że poemat jest, wprawdzie, ciekawy,
Ale brak w nim, tak zwanej postawy.
I społecznego przekroju,
Czyli pozytywnego nastroju
Dla demokratycznego ustroju.

Przerobiłem więc cały poemat,
Lecz wyłonił się nowy dylemat,
Że poemat, coprawda, jest śliczny
I społeczny i polityczny,
Ale w nim brak, w ogólności
Stosunku do rzeczywistości,
Że przemilczam repatriację,
Propagandę i informację,
Handel i aprowizację,
Gdańsk i reformę rolną,
A dziś tak pisać nie wolno.

Przerobiłem więc cały poemat,
Lecz wyłonił się nowy dylemat,
Że styl wiersza jest przestarzały,
Że poemat jest zbyt zrozumiały,
Że pisywało się takie banały
Lat temu siedem czy osiem,
Więc żebym się obznajmił z Przybosiem.

Po tych słowach złamałem pióro
I założyłem biuro,
Gdzie się wiersze przerabia i zmienia
Dla „Kuźnicy" i „Odrodzenia".

Obywatel Rózga ma głos



Życie, obywatele, powiadają, dobra i piękna rzecz. Zgoda, ale nie zawsze i nie dla każdego. Ja naprzykład mam żal i pretensję do życia pod względem Pelasi, żony mojej ślubnej. Kiedy, pamiętam, brałem ją od ojców dziewczyna była jak róża. Nic dziwnego, że przez parę ładnych lat szło nam jak z płatka, czego najlepszym dowodem co rok: Zenek, Agata, Benio, Staś, Magdzia, Józio, Tola i Zygmuś. Tylko, że z każdym nowym prorokiem to, można powiedzieć, płatki z róży opadały, a kolce same wyłażą. Już przy Beniu Pelasia zaczęła się krzywić.

— Ładna robota — powiada — stary króliku, a co dzieciom do gęby włożysz?

Cóż miałem jej na to odrzec? Że jakoś to będzie, a pozatem nieładnie człowiekowi pracy żyć tak zupełnie bez rozrywki kulturalnej: kino za drogie, teatr za drogi, książka za droga, radio za drogie...

Staś, Magdzia, Józio, Tola i Zygmuś świadczą, że Pelasię przekonałem. Nie przekonałem jednak życia. Dzieci niby podrosły, ale kłopoty nie zmalały. Zwłaszcza ostatnio Pelasia głowę mi suszy.

— Zapisz się — mówi — do Opieki Społecznej, bo obiadu nie będzie: mąka 80 złotych...

I wylicza mi dokładnie, jak wszystko diabelnie podrożało. Aż się za łeb złapałem! No, bo, jak Boga kocham, wiele artykułów, że tak powiem, spożywczych cenę ma wyższą niż na przednówku. Zmartwiłem się bardzo, a tu żona ślubna dolewa oliwy do ognia:

— Octu — powiada — nigdzie niema.

Albo:

— Słoniny nie sprzedają. Kup — śmieją się u rzeźnika — paniusia mięso, to kawałek słoniny dołożymy.

Lub:

— Soli nie można dostać.

Ta sól to mnie dorżnęła. Sam pobiegłem do sklepu, do naszego lokatora, ob. Majoneza. Sprawdzić.

— Tak i tak — zaznaczam — głupstwa ludzie gadają, że octu niema i soli nie można dostać. To chyba niemożliwe?

A ob. Majonez na to ręce tylko rozłożył:

— Możliwe, mój Rózgo, możliwe. Takie rzeczy się dziś dzieją. Ocet i sól się wywozi do Związku Radzieckiego. Umowa handlowa.

Zaraz pomyślałem, że dokładnie to będzie wiedział Czyżyk. Zaczepiłem go na schodach, bo akurat wracał z fabryki. Kiedy mu powiedziałem o wywożeniu octu i soli, kiwnął potwierdzająco głową:

— To prawda, bracie, niestety, prawda. I gdybyż to tylko ocet i sól! Nie wiem, czy zwróciłeś uwagę, że u nas teraz ciągle pochmurno?

— No, tak, faktycznie.

— A widzisz — zaśmiał się Czyżyk. — A wiesz dlaczego? Bo słońce w ramach umowy handlowej do Rosji z Polski odstawiono.

Ponieważ, słysząc to, minę musiałem mieć dosyć głupią, Czyżyk spoważniał.

— Nie martw się, kochany. Jeszcze się wypogodzi, znajdzie się ocet i sól i słonina, stanieje mąka...

— Tak — przerwałem — ale kiedy?

— Ano, wtedy, kiedy obudzi się zaspana Komisja Specjalna i zajrzy do praktyk różnych tam hurtowni, pośredniczących w „handlu". To trochę bliżej, niż do „Związku Radzieckiego", a ile rzeczy się odrazu wyjaśni i ewentualnie — zmieni.

W związku z wystawieniem przez dyr. Schillera sztuk polskich autorów: „Starego Dworku" — A. Ważyka i „Wielkanocy" St. Otwinowskiego



Rys. Ignacy Witz

Loża schillerców

J. COURTELINE

Honor baronowej de Brossarbourg

Baronowa: Proszę cię o krótką rozmowę, baronie de Brossarbourg, dostojny małżonku mój. Muszę ci opowiedzieć o pewnym drobnym wypadku natury zupełnie specjalnej, o którym milczałabym, gdyby bieg wydarzeń odpowiadał moim nadziejom. Tak się jednak nie stało. Muszę ci tedy wszystko wyjawić, przygotuj się na coś niesłychanego, potwornego. Honor rodu de Brossarbourg...

Baron (zaniepokojony): Honor naszego rodu, powiadasz?...

Baronowa (uroczyście, z tłumioną boleścią): Tak jest, baronie. Honor rodu de Brossarbourg jest na zawsze splamiony.

Baron: Nieba! Co słyszę?... Nasz honor?... Wymień mi natychmiast nazwisko wspólnika twej winy... Łaknę krwi jego!... A, przebóg, nazwisko tego nikczemnika! Powiedz natychmiast!

Baronowa: Nie znam go. To, co ci mam opowiedzieć, baronie, to zaiste historia tragiczna i tajemnicza zarazem. Zresztą posłuchaj i osądź sam. Przypominasz sobie zapewne, że zeszłego listopada zaprosiłeś kilku przyjaciół na krótki pobyt w naszym zamku, aby uczestniczyli w otwarciu sezonu polowań. Przybyło ich sześciu: wicehrabia de la-Mothe-aux-Dames, kawaler de Mépié, pan de Poilu-Boudin, generał baron de la Rossardière...

Baron: ...doktór Bourgredâne i Oskar de Proutrépéto. Pamiętam wybornie. I cóż dalej?

Baronowa: Otóż posłuchaj mnie... W kilka dni po przybyciu tych panów zmieniałam właśnie bieliznę w mym pokoju, po czym miałam wejść do sali jadalnej i zasiąść do obiadu. Doszłam właśnie do tej chwili psychologicznej, kiedy dolny koniec mej koszuli zatrzymał się na wysokości mej szyi, albowiem koszula zaczepiła się o szpilki we włosach. Pozwól, abym przez wzgląd na mój wstyd kobiecy rzuciła zasłonę na resztę szczegółów...

Baron: Proszę cię o to.

Baronowa: Nagle, gdy się mozolę z wytężeniem, aby wyswobodzić głowę z matni, słyszę, jak za mną otwierają się cicho drzwi i jakiś głos męski woła: „Do kroćset piorunów! Co za piękna kobieta!“

— Wydaję okrzyk przerażenia. W tej samej chwili ktoś zbliża się do mnie i korzystając niegodziwie z mego położenia — albowiem byłam jak gdyby uwięziona i nie wiedziałam co się dokoła mnie dzieje — powtarza trzykrotnie: „Atlas! atlas! Prawdziwy atlas!“ i kładzie delikatnie dłoń tam, gdzie się zaczyna... (Wstydliwie): Z tego samego powodu co poprzednio proszę cię, pozwól mi, bym rzuciła zasłonę na dalsze szczegóły... Gdy wreszcie odzyskałam swobodę ruchów i mogłam rzucić dokoła siebie spojrzeniem pełnym szlachetnego gniewu i oburzenia, nie było w pokoju zuchwalca, który mnie znieważył... i pozostała niezmazana plama na herbie rodu de Brosarbourg...

Baron (wybucha głośnym śmiechem): Jakto, nie poznałaś po głosie?

Baronowa: I owszem... Po pewnych oznakach zdawało mi się, że poznaję głos pana de Proutrépéto. Postanowiłam tedy rzecz wyjaśnić i wydobyć od tego niegodnego szlachcica wyznanie jego zdrady, zdecydowana ukarać go następnie w sposób jak najbardziej przykładny. Posługując się zręcznie bronią, którą natura nas obdarzyła: wdziękiem, kokieterią, sztuką uwodzenia, zwabiłam go na schadzkę. Uległ mi. Pewnej nocy, gdy wszyscy spali, otworzyłam mu drzwi mej sypialni i wpuściłam go do mej łożnicy.

Baron: Jak to? Co słyszę?

Baronowa: Uspokój się, baronie! Pod poduszką ukryłam sztylet, a spazm rozkoszy, jaką zdawały mi się sprawiać uściski pana de Proutrépéto, był tylko komedią dobrze odegraną. Gdy widziałam, że jest już w stanie odpowiednim do czynienia wyznań, że ogarnęła go rozkosz jak najbardziej wyrafinowana, pochyliłam się ku niemu i zapytałam z figlarnym uśmiechem: Wyznaj wszystko, niegodziwcze, w tej oto chwili możesz wszystko wyznać. To ty wszedłeś onegdaj do mego pokoju, gdy ja ubierałam koszulę? A równocześnie ręka moja niecierpliwie bawiła się rękojeścią sztyletu. Ale on odpowiedział: „Nie rozumiem, o co chodzi“ i to tonem tak szczerym, z takim wyrazem idiotycznego zdziwienia na twarzy, że nie mogłam wątpić, iż przypuszczenie moje było fałszywe...

Baron (ociera pot z czoła): Uf!

Baronowa (dalej opowiada): Teraz moje podejrzenia zwróciły się przeciw panu de Poilu-Boudin, którego spojrzenia lubieżne nie uszły mej uwagi. Nie zniechęcona bynajmniej pierwszym niepowodzeniem, pragnąc gorąco pomścić honor rodu de Brossarbourg, poczęłam znów z nim tę samą zręczną grę kokieterii i uwodzenia. Mężczyźni są głupcy; w tę samą zasadzkę, w którą wpadł już poprzednio pan de Proupépéto, dał się teraz z kolei pochwycić pan Poilu-Boudin. Pewnej nocy, pełen ufności i namiętności niepohamowanej wślizgnął się cichaczem przez drzwi, rozmyślnie nie zamknięte, do mej sypialni i do łóżka, które, być może, miało stać się jego grobem... Cóż mam ci powiedzieć baronie?... W jego głosie były takie akcenty szczerości, że wszelka pomyłka jest wykluczona. Pan de Poilu-Boudin był niewinny stanowczo i bezwarunkowo niewinny! Wyszedł z mych objęć tak jak wszedł w nie, a sztylet i tym razem pozostał ukryty pod poduszką.

Baron: Bez wątpienia pomyślałaś teraz o p. Rossardierze?

Baronowa: Odgadłeś, mój drogi baronie. Na nieszczęście i ta trzecia próba pozostała tak samo bez skutku, jak dwie poprzednie. To samo było z kawalerem de Mépié...

Baron: ... a potem z doktorem Bougredâne?

Baronowa:... i z wicechrabią de la Mothe-aux-Dames, tak, że wkońcu, niestety moje podejrzenia zwróciły się...

Baron: (w uniesieniu): Doprawdy, baronowo, jesteś sto razy głupsza, aniżeli wszystkie świnie z Cincinnati razem wzięte. Niech mnie jasny piorun trafi! Gdybym mógł tylko przypuszczać, że jesteś tak bezgranicznie głupia, nie byłbym sobie pozwolił na ten niewinny żart... nie poklepałbym cię po nagim ciele i nie porównał do atlasu.

Przełożył **Etienne**



Rys. Henryk Tomaszewski

Św. Piotr: Na jakiej podstawie pchasz się do nieba?
Frank: Ojciec św. wstawił się za mną



Rys. Zbigniew Kiulin

— To pozostałość z niewoli?

— Nie, to pozostałość z „Wolności“



Rys. Zbigniew Kiulin

— Latał pan już kiedy?

— Oj, panie, raz to 3 dni pod rząd i to co 5 minut



Rys. Zbigniew Kiulin

— Litościwa osobo, może znajdzie się coś gorącego?

— Gorącego? Trzeba było przyjść 40 lat temu!

LUDWIK JERZY KERN

Z szóstego na siódmego b. m.

Mieszkam kolektywnie. To znaczy nie sam jeden w sześciopokojowym mieszkaniu, ale wspólnie z pięcioma innymi osobami. Mieszkanie mamy komfortowe, nowoczesne i hermetyczne. Z łazienką, elektryczną wycieraczką i kwiatami w... Jest nawet wmontowany pośrodku duży hall, który stanowi łącznik pomiędzy wszystkimi pokojami. Każdy z nas, wracając do domu musi, siłą rzeczy, przez hall ten przejść. W hallu poza telefonem znajduje się jeszcze stary, wczesno-gotycki zegar poniemiecki. Inych zegarów w domu nie ma.

Sąsiedzi moi to: profesor Flandini-ornitolog, pracujący w Instytucie Ptaszniczym; panna Hildegarda Pipciakiewiczówna — młoda sawantka, studiująca frazeologię doświadczalną; Jerzy Durand — starzejący się amant jednego z miejscowych teatrzyków oraz Zenobiusz Fąfelko — buchalter firmy Bankopol z małżonką.

Szóstego b. m., w ową pamiętną niedzielę, wróciłem do domu wcześniej niż zwykle, zadowolony (jak zwykle) i uśmiechnięty radośnie w stronę świata i życia. O ósmej zjadłem w swoim pokoju kolację, przejrzałem gazety i przypomniałem sobie, że właśnie tego dnia trzeba cofnąć wkazówki zegara o godzinę. Sprawa ważna — pomyślałem — państwowa, więc udałem się bez zwłoki do hallu. Stanąłem przed zegarem. Cofnąłem. Potem jeszcze zatarłem ręce zadowolony i zabrałem się do swojej pracy nad „Historią Satyry w Nowej Rzeczywistości". Po kilku godzinach zmęczony pisaniem, zasnąłem, pamiętając jednak o tym, że siódmego mam się spotkać o 9 rano z Trzetrzewińskim, który chce, żebym objął redakcję nowego pisma satyrycznego. Nie wiedziałem, że...

...o dziewiątej wrócił do domu profesor Flandini , który był na bridge'u u Złotnickich. U Złotnickich mówiło się cały czas o zmianie czasu. Profesor to zapamiętał, mimo, że jednocześnie zapomniał wrócić od Złotnickich z parasolem. Gwiżdżąc „Madame Loulou", profesor poszedł do hallu. Stanął przed zegarem. Cofnął. Zasypiając marzył o ministrze Kierniku.

...pięć przed jedenastą wróciła panna Pipciakiewiczówna, która jako wielka miłośniczka radia momentalnie włączyła swój aparat. Uczynny speaker poinformował ją, że właśnie „z 6-go na 7-my przechodzimy na czas zimowy, czyli, że należy cofnąć wskazówki zegara o jedną godzinę". „Napewno nikt o tym nie pomyślał" — pomyślała panna Hildegarda i sprężystym krokiem młodej sawantki wkroczyła do hallu. Bezmyślnie stanęła przed zegarem. Cofnęła. W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku zasnęła marząc, że godzina snu więcej wpłynie pokrzepiająco na jej dziewicze samopoczucie.

... około 12 wrócili Fąfelko z żoną. W tym czasie kiedy pani Fąfelko przygotowywała małżeńskie łoże, pan Zenobiusz, ciągnąc za sobą tren szelek, szedł przez hall do łazienki. Jako buchalter pamiętał o zmianie czasu. Jako pedant uczynił to natychmiast. Stanął przed zegarem. Cofnął. Potem umył się i grzecznie zasnął. Małżonek spał, nie spała małżonka. Szykując jeden z popularnych dzienników na conocne papiloty zauważyła wzmiankę o zmianie czasu. Przeczytała. Klasnęła w tłuste rączęta z wielkiej radości. „Toż to będzie miał przyjemność Zenobiusz — uśmiechnęła się — obudzi się, jak zwykle o siódmej, a ja mu powiem: „kochanie zmruż swe oczęta. Jeszcze godzinkę możesz pospać. Zmiana czasu, Zebciu, zmiana czasu". Poszła do hallu. Stanęła przed zegarem. Pełna szczęścia cofnęła.

...Kwadrans po drugiej wrócił z nową narzeczoną pan Jerzy Durand. Oboje byli w humorach wyśmienitych i świat widzieli mocno na różowo. „Popatrz, maleńka — powiedział w hallu amant — jaka młoda godzina. Niepotrzebnie, ep, tak śpieszyliśmy się do domciu. A w dodatku, królewno, dzisiejsza noc jest nocą wyjątkową. Dłuższa, niż wszystkie inne noce. Dziś jest noc jedyna. Czy rozumiesz mnie?" Objął ją wytrawnym ruchem scenicznego kochanka, a potem nucąc „Nasza jest noc", stanął przed zegarem. Cofnął. Ostatnie drzwi hallu zamknęły się namiętnie...

* * *

W rezultacie 7 b. m. wszycy w naszym mieszkaniu piekielnie się nudziłi, czekając na godzinę swego codziennego wyjścia. Jednocześnie ogromnie się niepokojono w Instytucie Ptaszniczym, na Kursach Frazeologii Doświadczalnej, w firmie Bankopol oraz w jednym z miejscowych teatrzyków, gdzie z powodu nieprzybycia pewnego starzejącego się, ale niezastąpionego dotychczas amanta, próba, jak to mówią leżała na pysk. Trzetrzepiński zaś, który czekał na mnie wytrwale przez cztery godziny, rozmyślił się ostatecznie, postanowił założyć sklepik i dlatego w najbliższym czasie nie będzie w Polsce nowego pisma satyrycznego.

BOGDAN BRZEZIŃSKI

Tłum i poeta

Czyta czytelnik, szary czytelnik,
Wierszyki, wiersze, wierszydła,
Boi się przyznać, że ta lektura,
Okropnie już mu obrzydła...

Czyta czytelnik, zębami zgrzyta,
Klnie na te wiersze i mu
Zdaje się ciągle, w ducha prostocie,
Że brak w nich sensu i rymu.

Szary czytelnik, biedny czytelnik,
Napróżno szuka w nich treści:
Czy na początku, w środku, czy w końcu
Poeta myśl swą umieścił?...

Co chciał powiedzieć, porównywując
Słoneczko do kalafiora,
Świat do akacji, byt do wakacji,
A księżyc do pomidora?

Dlaczego tworząc swe arcydzieło,
Pasja chwyciła go taka,
Że w tym zapale całkiem zapomniał
O przystankowych znakach?

Biedny czytelnik, szary czytelnik
Czyta te wiersze blady,
I nie wie, czy to wiersze (po pierwsze
Czy jakieś trudne szaradv?!

Aż wreszcie jeden czytelnik szary
Poetę spytał sławnego:
— Dlaczego tak wy, Muzy synowie,
Piszecie mętnie — dlaczego?

Czemu piszecie tylko dla siebie,
A nigdy dla czytelnika?
I jakaż korzyść, jaka nauka
Z wierszy tych dla nas wynika?

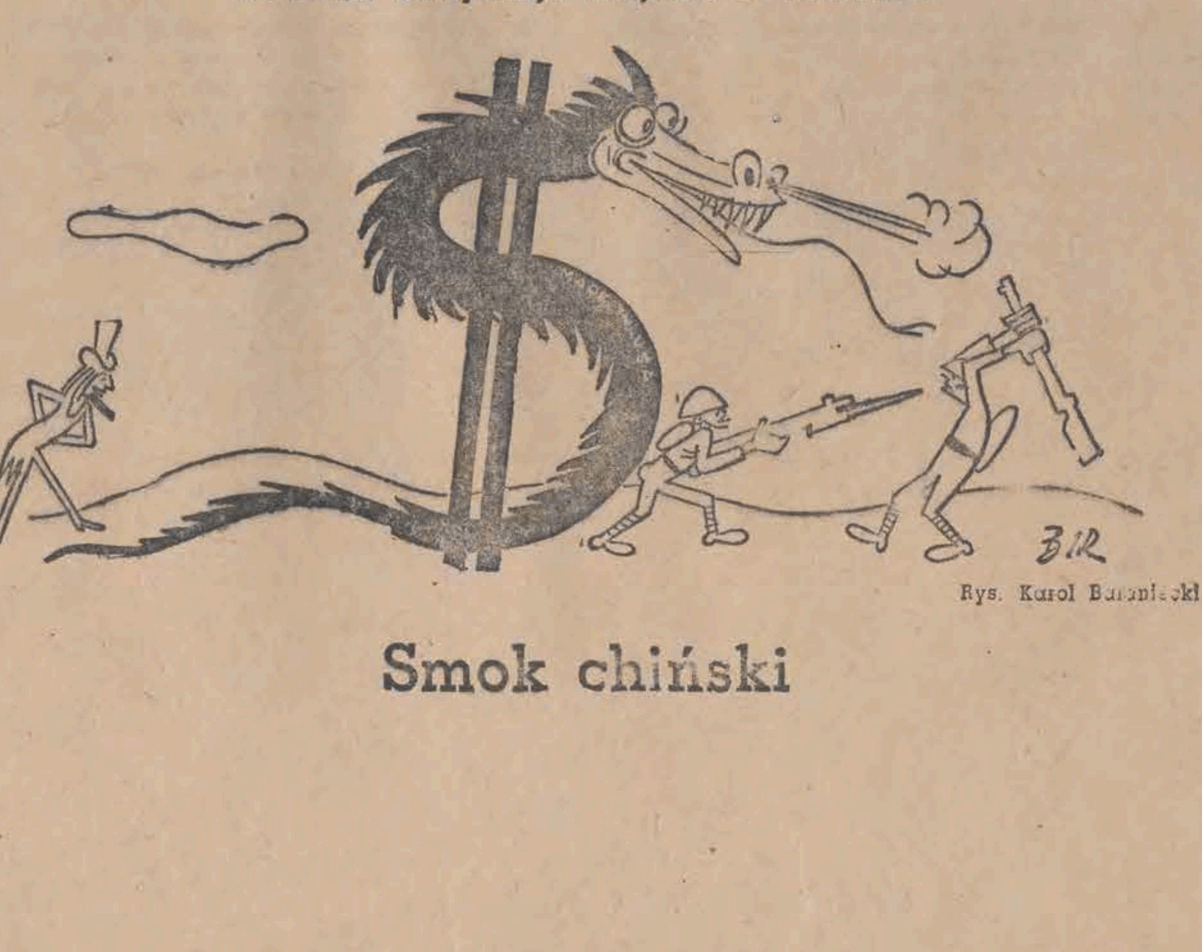
Mistrz ze zgorszeniem rzekł natrętowi:
— Mylisz się! Ja i koledzy
Tworzymy stale, tworzymy właśnie
Dla „Czytelnika" i „Wiedzy"!...

TADEUSZ ŚMIELIŃSKI

Fraszka na publicystę

Narzekał publicysta
Na czasy opłakane,
Że słowa jego kazań
To jakby „groch o ścianę".
Nie zauważył jednak,
Gdy kazał złotousto —
Że to nie groch o ścianę,
Lecz właśnie „groch z kapustą".

U. S. A. utrzymuje wojska w Chinach



Rys. Karol Baraniecki

Smok chiński

STEFAN STEFAŃSKI

Fizjologia śmiechu

(Z pamiętnika współpracownika wyjąkowo dowcipnego pisma)

13. XI. 1945. Przyniosłem dziś do redakcji b. wesoły kawałek, ale redaktor zamiast się roześmiać, przygadał mi z miejsca:

— Ach, ty koniu trojański — powiedział — co ty właściwie chcesz przemycić w naszym wyjątkowo dowcipnym piśmie? Przecież ta twoja drewniana piła (tak się wyraził o moim b. wesołym kawałku) nie wywoła wcale śmiechu u czytelników. Napisz coś naprawdę śmiesznego.

14. XI. 1945. Pragnąc wywołać śmiech u czytelników, zacząłem się od samego rana zastanawiać nad jego fizjologią. Po dłuższych rozważaniach doszedłem do wniosku, że mechanizm tego objawu zasadza się na zwykłym skurczu mięśni. Największy udział bierze tu zygomaticus, tj. główny muskuł policzkowy, idący od wydatnej kości policzkowej do kąta ust. Skoro ten się kurczy, powstaje fałda między wargą a policzkiem, nadająca twarzy wyraz śmiechu. Jednakże nie będzie to jeszcze śmiech właściwy, śmiech radosny, śmiech zaraźliwy, jeśli się tak wyrazić wolno. W takim śmiechu bowiem muszą brać udział oczy, a powieki, zwłaszcza dolna, kurczą się charakterystycznie. Inne muskuły wywołują rozmaite odcienie śmiechu, np. mięsień czołowy sprawia odcień zdziwienia.

P. S. Mam niepłonną nadzieję, że poznanie fizjologii śmiechu ułatwi mi znakomicie wykrycie sposobów jego wywoływania.

15. XI. 1945. Ot, na przykład, żona wywołała dzisiaj u mnie śmiech i to śmiech serdeczny, od którego drgają nie tylko mięśnie twarzy ,ale i brzuszne, grzbietowe, płucne oraz przepona aż do nerek. Ryczałem na całe gardło, chociaż — przyznać muszę — sposób żony nie był skomplikowany: po prostu nie mogąc mnie dobudzić rano, zaczęła mnie łechtać w piętę tudzież pod pachami.

16. X. 1945. Stwierdzam z zadowoleniem, że nie tylko łechtanie w piętę tudzież pod pachami wywołuje u ludzi objawy niezmiernej radości. Będąc w stołówce, zauważyłem, jak starsza dama, niosąc stos talerzy, potknęła się i usiadła na kotle z zupą. Okoliczność, że starsza dama potłukła od razu tyle talerzy tudzież oparzyła sobie... jakby to powiedzieć — no, wiecie sami — spowodowała u stołowników wybuchy homerycznego śmiechu. Aż łzy w oczach mieli.

17. XI. 1945. W poszukiwaniu pobudek do śmiechu znalazłem interesujący passus w noweli znakomitego humorysty B. Prusa p. t. „Józio". Józio był smutnym garbusem i gdy płakał, ponieważ pewien wesoły, silny kolega łoił go pięściami po plecach, cała klasa szalała z wesołości.

P. S. Ten passus naturalnie, starannie sobie odnotowałem.

18. XI. 1945. Zbierając skrzętnie wszelkie recepty na budzenie śmiechu, zwróciłem uwagę na wybitnie rozweselające właściwości t. zw. bomby atomowej. „Murowany" (tylko — nie sprawdzony) fakt, że 2 deka tego pokojowego środka może zmasakrować co najmniej ćwiartkę kuli ziemskiej, doprowadza — jak to sprawdziłem w wielu kawiarniach — ludzi do spazmatycznych, uciesznych chichotów.

P. S. Od znajomego psychiatry dowiedziałem się, że bomba atomowa nie jest chwała Bogu, jedyną sztuczną podnietą, od której (nawet u największego histeryka) napływają wesołe myśli i dobry humor. W podobny bowiem sposób działa tlenek azotu, narkotyk z konopi indyjskich, znajdująca się w mącznicy żyta ergotyna, tudzież alkohol etylowy, metylowy, propylowy i butylowy.

19. XI. 1945. Eksploatując w dalszym ciągu wiedzę znajomego psychiatry w zakresie wywoływania śmiechu, uzyskałem b. cenną informację odnośnie rozweselających właściwości czerwonego światła. Ludzie poddani mianowicie czerwonemu oświetleniu śmieją się i ustawicznie dowcipkują.

20. XI. 1945. Operując materiałem informacyjnm, zdobytm 14, 15, 16, 17, 18 i 19. XI. 1945 r. — napisałem naprawdę śmieszną humoreskę. Oto pokrótce jej treść:

Garbus, urzędnik państwowy (postać podwójnie komiczna) przychodzi na obiad do stołówki. W stołówce spotyka starszą damę z towarzystwa (postać społecznie komiczna), która podaje do stołu. Garbus wyraża nieśmiało swój zachwyt, łechcząc starszą damę z towarzystwa w piętę tudzież pod pachami. Starsza dama z towarzystwa wybucha radosnym śmiechem, poczym tłucze stos talerzy i wpada do kotła z zupą (sytuacja podwójnie komiczna). Stołownicy ryczą ze śmiechu, oklaskując garbusa pięściami po plecach. Garbus i starsza dama z towarzystwa zaczynają łkać, co przyczynia się do zwiększenia ogólnej wesołości. Humor dochodzi do zenitu, gdy kierownik stołówki rozpyla w powietrzu proszek do kichania. Stołownicy kichają, ze śmiechem opuszczają salę. Garbus pałając zemstą do stołowników, kupuje w ZOO wielbłąda za ½ l. alkoholu metylowego i na wielbłądzie (sytuacja podwójnie komiczna: garbus na garbusie) udaje się do Ameryki. Rozśmieszywszy prez. Trumana przy pomocy narkotyku z konopi indyjskich, wykrada 5 kg. bombę atomową i wraca z nią na wielbłądzie do Łodzi. Tu poślubia starszą damę z towarzystwa (ślub w czerwono oświetlonym kościele baptystów) i wywozi ją do Lazurowej Groty na Capri. Pragnąc odwetu na wesołych stołownikach, garbus rzuca z groty 5 gk. bombę atomową. Wybuchowi bomby towarzyszy wybuch śmiechu garbusa i starszej damy z towarzystwa. Widząc, jak pod wpływem bomby znika cały świat (z wyjątkiem Capri), śmieje się również wielbłąd, urżnięty w sztok tlenkiem azotu.

21. XI. 1945. Przyniosłem naprawdę śmieszną humoreskę redaktorowi. Ku memu zadowoleniu główny muskuł policzkowy na jego twarzy (zygomaticus) zaczął się kurczyć, poczym kurcz objął mięśnie brzuszne, grzbietowe, płucne i przeponę aż do nerek. Co tu dużo gadać — redaktor ryczał ze śmiechu. Tylko, że śmiech ten, psiakość, wydał mi się jakoś dziwny. Brzmiała w nim bowiem wyraźnie rozpacz, ból, cierpienie i w ogóle obłęd. Trochę przestraszony chciałem już zabrać swoją humoreskę, ale redaktor konwulsyjnie ściskał ją w garści i zanosił się nadal bezustannym, coraz niesamowitszym rechotem. Po upływie godziny rechot przeszedł w rżenie, po czym redaktor przewrócił się na biurko i — jak to się mówi — w tej pozycji zastygł.

P. S. Wezwany lekarz stwierdził śmierć ze śmiechu. Humoreskę zatrzymała milicja jako t. zw. dowód rzeczowy.

(z przygotowanego do druku zbiorku utworów satyrycznych p. t. „Ozór po polsku",

---

B-cia Jabłkowscy, właściciele domu towarowego w W-wie, odbudowują dom zabytkowy — Kamienicę Baryczków



Rys. Henryk Tomaszewski

Dom zbyt-kowy

STANISŁAW SOJECKI

Opowieść o naiwnym filozofie

Filozof pewien, biedny człek,
Na wielkich myśli cierpiał natłok;
Brzemienny w rozum nad swój Wiek
Czuł, że ma w sobie Prawdy światło.

Zadziwić chcąc tą Prawdą świat,
Długo ją rodził, męcząc głowę —
Lecz, gdy zmarnował wiele lat,
Poprosił w pomoc mądrą sowę.

Ta, gdy się do niej zwrócił w dzień,
Zamknąwszy oczy swe puchacze,
Rzekła: mnie nocny sprzyja cień —
Teraz tej prawdy nie zobaczę!

Więc poszedł nocą mędrzec ów,
Poprzez najdziksze mknąc wertepy,
A sowa rzekła: na nic znów —
W nocy ty przecież jesteś ślepy.

Odtąd się mędrzec począł gryźć
I w biednej głowie mu się plącze
Naiwna i dziecinna myśl —
Żeby tak w noc zapalić słońce!

JAN HUSZCZA

Ilustr. KAZIMIERZ GRUS

Lux

Obywatelki i Obywatele! Od samej wiosny na murach miasta Rypina wisiała nalepka: „Znak to czasów — akcja wczasów". I ludzie zaczęli wyjeżdżać na wczasy. Ja również, zachęcony akcją oraz posiadaniem siedmiu tysięcy złotych, zdecydowałem się pojechać w odzyskane góry na wypoczynek. Te siedem tysięcy posiadałem w pończosze, zatulonej wokół szyi mego ulubionego psa „Luxa". Ten sposób podyktowała mi przezorność, bo to teraz łatwo o różnych amatorów cudzego grosza, rozpruwających kieszenie, a taka damska znoszona pończocha na szyi Luxa, należało mniemać, nie zwróci na siebie niczyjej specjalnie uwagi. Najwyżej pomyślą, że anginę ma piesek albo migdałki chore.



Bilet w kasie kolejowej kupiłem bez szczególnych przeszkód, gdyż Lux rosły wilczur — ugryzł w nogę kasjera, a jeszcze przedtem groźnym warczeniem rozproszył stojących w kolejce przede mną podróżnych.

Gorzej było z wsiadaniem do pociągu. Tu wszystkie poparte czynem perswazje Luxa, niestety, zawiodły i bagaże pchały do wnętrza ludzi, ludzie zaś pchali z kolei bagaże, w rezultacie czego pociąg odjechał. Lux zdążył wskoczyć do wagonu (z pończochą) dopiero w ostatniej chwili, w dodatku przez okno, a ja zostałem z bezradnie opuszczonymi rękami na peronie.

A gdy, pełen niepokoju o Luxa i pończochę, następnym pociągiem dojechałem wreszcie do Wrocławia, wśród różnych wałęsających się piesków mego na peronie nie było.

Dopiero przypadek sprawił, iż dowiedziałem się o czymś, co mogło naprowadzić mnie na jego ślady. Jakiś przygodny znajomy opowiedział mi przebieg zajścia, które tu miało miejsce przed sześcioma godzinami.

Przed sześcioma, mianowicie, godzinami, bezpański podobno pies — wilczur (aha, wilczur) pokąsał (mój lubi kąsać) jakiegoś pana, który usiłował go pogłaskać po szyi.

— A szyja była jaka? — zapytałem, pełen nadziei.

— Szara i...

— I?

— I przewiązana jakąś szmatą, albo czymś w tym rodzaju. Sprawcę pokąsania t. j. wzmiankowanego psa, odprowadzono do komisariatu...

— Lux w opałach! — krzyknąłem i pobiegłem penetrować komisariaty.

O zmierzchu dopiero odnalazłem właściwy. Niestety, sprawcę zajścia skazano na dwa dni aresztu. Próżno nawet prosiłem o możność widzenia się z odsiadującym karę. Nie pomogły żadne pertraktacje. Nawet papierosów nie pozwolono mu posłać.

— Gdyby pan był też pies — odpowiedziano mi — to co innego, a tak nie widzimy dla widzenia podstaw...

Jak to czasem źle nie być psem. Musiałem czekać. Serce, oczywiście, mi łomotało. Kiedy zaś Luxa wypuszczono na wolność, wspólna nasza radość nie miała granic, zwłaszcza, że szyję przyjaciela okalała pończocha, a w pończosze uspakajająco szeleściły papierki z bankowymi znakami.

— Lux — mówiłem ze łzami w oczach — dość tego zuchwalstwa, umityguj, kochany, przynajmniej na razie swój temperament, przestań kąsać... Przecież Luxunio — głaskałem go po zjeżonej sierści — tu o pieniądze chodzi, o nasze wczasy, najdroższy!

A najdroższy widocznie rozumiał, bo często merdał ogonem i liznął nawet po twarzy, strącając mi przy tym z nosa okulary, które się stłukły. Wiadomo, szkło to nie żelazo...

Na miejscu, w pensjonacie, było bardzo zachęcająco: i umywalka czysta i ręcznik wisiał i góry dookoła rysowały się majestatycznie, a w sadzie stały ule z pszczółkami, zbierającymi pracowicie miód w cenie po 430 złotych za kilogram jeśli w sprzedaży bez domieszki margaryny... Tylko ludzie w pensjonacie podejrzani jacyś. Kręcą się dokoła, zapraszając na brydża.

No, no, myślę sobie, brydż brydżem, a chcecie zwąchać czy by pieniążków nie dało się facetowi zwędzić. I bardzo byłem zadowolony ze swojej przebiegłości, przy tym nieraz całowałem Luxa w nos i w pończochę ze słowami:

— Moja ty kaso, moje ty ubezpieczenie od wypadków!...

Ubezpieczenie od wypadków również było zadowolone i poszczekiwało z radości zanim nie nadeszło pewne pogodne popołudnie w pewną środę, kiedy nagle w sadzie, w pobliżu właśnie pasieki, dało się zauważyć zamieszanie.

Na miejsce zamieszania przybyłem jako jeden z pierwszych, ale i tak już było za późno. Lux, osaczony przez pszczoły, rażony żądłami ze wszystkich stron, powodowany bólem, a słabo orientujący się w jego przyczynie,



kończył drzeć na strzępy, ba, na maciupeńkie strzępki naszą pończochę wraz z całą zawartością.

Po stwierdzeniu, że nic się nie da uratować, jęczałem pod adresem nie przestającego szaleć Luxa.

— Na jedz teraz te strzępki, psia twoja mać! Z wczasów, psia twoja mać, nici!

Tak jest, z wczasów rzeczywiście były nici! Dobrze, że przynajmniej owi brydżyści litościwie na bilet powrotny pożyczyli!...

O, obywatelki i obywatele! Jeśli, ze względu na dość częste złodziejstwo, słusznie zdecydowaliście się przechowywać swoje oszczędności w pończosze, zatulonej wokół szyi waszego ulubionego psa, to strzeżcie go wtedy przed wszelką stycznością z pszczołami! Gorzkie moje doświadczenie niech będzie dostateczną przestrogą dla milionowych rzesz, używających tego sposobu.

ŁUDWIK JERZY KERN

Donos

Muszę to donieść Ob. Redaktorze,
że z tą dziewczyną jest coraz gorzej.
Chodzi i rzęsy z wściekłości mruży
i mówi: „tak być nie może dłużej".
Dotąd normalna, moralnie zdrowa,
grzeczna, uczciwa i prorządowa,
miała kręgosłup i hart i pion,
aż nagle diabli wstąpili w nią.

Była przyjemna, jak róża w maju.
(Ob. Redaktorze, pan przecież zna ją)
Wie pan, że była gibka i czynna
tak jak kobieta być dziś powinna.
Pełna dążności i ideałów,
z głębią polotu, z morzem zapału
i nagle wrogi uniósł ją prąd,
bo inny — twierdzi — chciałaby rząd.

Mówi, że ten rząd, to nie rząd dla niej,
mówi, że taki rząd, to do bani,
że ona rząd chce mieć jak się patrzy
i żeby rząd jej zmienić raz dwa trzy.
I patrzy groźnie spod rzęs swych długich
i krzyczy: „rząd chcę mieć zaraz drugi".
Skąd, Redaktorze, powiedz pan skąd
mam jej wytrzasnąć ten drugi rząd?

Wczoraj w teatrze, to znaczy w piątek
ledwo dostałem ten rząd dziewiąty.
(Bo wie pan straszny tłok jest przy kasie
i innych rzędów dostać nie da się.)
A ona mówi mi, że nie będzie
Siedzieć jak...(wie pan?) w dziewiątym rzędzie:
Właśnie dlatego Ob. Redaktorze
donoszę, że z nią coraz to gorzej:
Donoszę też, że nie wiem skąd jest
w dziewczynie anty-rzędowy gest...



Rys. Adam Bieńkowski

— Patrz, my sie gnieździmy w dziurze w tyle osób, a ta małpa sama zajmuje luksusowy apartament!



Rys. Narcyz



Rys. Lo-lou

— Panie doktorze, prosze wstawić cztery zęby!

KAROL KOWALSKI

Futro

Właśnie wybiła północ, gdy pani Pieluchowska powiedziała do męża:

— No, robi się już porządnie zimno! Dziś fatalnie zmarzłam. Kiedy mi kupisz futro?

Pan Pieluchowski wsunął nos w gazetę.

— Cóż, zaniemówiłeś? — spytała ironicznie pani Pieluchowska. — Powiadam, że chciałabym wiedzieć, kiedy kupisz futro!

Pan Pieluchowski wzruszył ramionami.

— Futro?! Skąd, moja ptaszynko! Przecież nie mam ani grosza...

— Proszę cię, tylko bez ptaszynek! Muszę mieć futro i już! Nie będę marzła, jak jaka nędzarka tylko dlatego, że mam męża niedołęgę!

Przy ostatnich słowach pani Pieluchowska tak wybitnie podniosła głos, aż małżonek się przestraszył.

— Ciszej, kochanie! Cóż ja poradzę? Ja chciałbym, oczywiście, ale wiesz sama...

— Co?! — krzyknęła pełną piersią pani Pieluchowska. — Co ty poradzisz? Musisz coś poradzić! Spod ziemi wykop, a daj mi na futro! Pręcikiewiczowa ma nowe brejtszwance, Turbaczkowa kupuje karakuły, a ja chodzę w wytartym płaszczyku.

— Ależ dziecino...

— Nie jestem twoją dzieciną, ty niezdaro życiowa! — wrzeszczała pani Pieluchowska donośnie. — Muszę mieć futro, rozumiesz? Fu-tro, fu-tro!...

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Pan Pieluchowski pobiegł otworzyć drzwi. Okazało się, że był to sąsiad, pan Lipka.

— Proszę państwa — powiedział pan Lipka — co to za awantury po nocy? Człowiek cały dzień się nalata, żeby zarobić na ten kawałek suchego chleba i kieliszek mokrej wódki, a potem w domu nie może się spokojnie wyspać!

— Panie Lipka! — ryknęła madame Pieluchowska. — Niech pan tu wejdzie... Proszę wytłumaczyć memu mężowi, temu niedołędze, że szanująca się kobieta nie może nie mieć futra na zimę! No, może, czy nie może?

— Nie może — oświadczył dla świętego spokoju pan Lipka.

— A widzisz, ty bęcwale! Ha, ja cię tu zaraz nauczę rozumu!!...

To mówiąc pani Pieluchowska zaczęła gorączkowo szukać jakiejś twardej pomocy szkolnej, którą mogłaby skutecznie „nauczyć" swego niezdarzonego męża.

Pan Lipka chwycił się rękami za głowę.

— Pani Pieluchowska, co pani wyprawia! Bójcie się Boga, to przecież noc, dajcie ludziom spać! Ja doprawdy dużo nie mogę, ale w miarę możności dopomogę do kupna tego futra... Proszę, tu jest trzy tysiące złotych... Więcej nie mam! Tylko kochani, błagam was, przestańcie się awanturować!

Ledwie drzwi się zamknęły za panem Lipką, pani Pieluchowska rzekła z pogardą:

— Widzisz, niedojdo! Obcy człowiek — a rozumie duszę kobiety!

Tu głos pani Pieluchowskiej przybrał na sile.

— A ty, ty fajtłapo — co? Siedzisz, jak ten Kopernik na pomniku! O moja biedna matko, gdybyś wiedziała...

W tym momencie rozległo się gwałtowne dzwonienie do mieszkania.

Pan Pieluchowski podreptał do przedpokoju. Tym razem do mieszkania wtargnęła grupa sąsiadów: gruby szabrownik pan Hapskiewicz, inżynier Śrubka i emerytowana nauczycielka, której córka przywoziła często drobne pamiątki z Ziem Odzyskanych.

— Co to za brewerie państwo wyprawiacie? — zapytał ze zgorszeniem pan Hapskiewicz — Mam u siebie na kolacji parę osób i po prostu nie słychać, jak jemy, tak hałasujecie!...

— Panie Hapskiewicz, pan jest człowiek rozsądny i poważny! — krzyknęła pani Pieluchowska. — Czy ja mam siedzieć cicho, kiedy ten mój niezdara nie chce mi kupić futra na zimę?

— Nie nie chce, tylko nie ma pieniędzy... — próbował przerwać małżonek.

— Ha, a dlaczego inni mają zawsze pieniądze dla swoich żon! Taki pan Hapskiewicz...

— Sza, cicho! Dość już, pani Pieluchowska! — zawołał sąsiad, zatykając sobie uszy palcami. — Oszaleć można od tych krzyków! Ma pani tu dziesięć tysięcy, pan Pieluchowski mi odda, jak będzie mógł! Tylko już nie awanturujcie się!

— To pewnie niewystarczy, więc ja dorzucę dwa tysiące — powiedział inżynier Śrubka ze zbolałą miną. — Ale dajcie mi się wyspać!

— Ma pani tu tysiąc, pani Pieluchowska — rzekła emerytowana nauczycielka, której córka ...itd. — Ząb mnie paskudnie boli, ledwo udało mi się zasnąć, a tu takie hałasy! Myślałam, że się pali!

Gdy sąsiedzi wyszli, pani Pieluchowska zawołała:

— A widzisz, gałganie, obcy ludzie rozumieją, że muszę mieć futro na zimę, a ty...!

Po chwili rozległ się energiczny dzwonek. Znów przyszło trzech innych sąsiadów, oraz jeszcze raz pan Hapskiewicz.

* * *

Punktualnie o drugiej w nocy nastąpiło zawieszenie broni.

Gdy zamknęły się drzwi za ostatnim sąsiadem, pani Pieluchowska uśmiechnęła się pogodnie i ocierając pot z czoła, powiedziała do męża:

— No, a teraz policzymy!

Rachowanie pieniędzy trwało kilka minut. Wreszcie pani Pieluchowska oznajmiła:

— Całkiem nieźle. Wystarczy. Może nawet zostanie na perlony!

I grożąc mężowi figlarnie paluszkiem, dodała:

— Teraz chyba przyznasz, dziubdziusiu, że moja matka ma głowę na karku! Jej pomysł z awanturą o futro był znakomity.

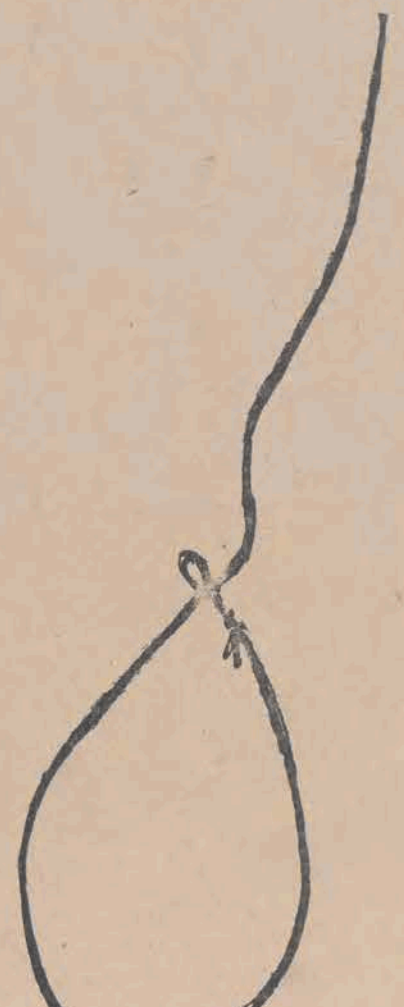
Churchill w czasie pobytu w Choisi wykończył 2 obrazy



Rys. Henryk Tomaszewski

Nie taki malarz straszny, jak maluje

Z NORYMBERGI



Rys. Ignacy Witz

Sz-nür fur deutsche

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Pranie

Ulituj się nade mną, Panie,
Bo w domu pranie.
Już prawie żyć nie jestem w stanie,
Bo w domu pranie.
Człowiek obiadu nie dostanie,
Bo w domu pranie.
Człowiek popada w obłąkanie,
Bo w domu pranie.
Kłócę się z żoną, wszystko ganię,
Bo w domu pranie.
W mydlinach całe jest mieszkanie,
Bo w domu pranie.

Woda bez przerwy szumi w kranie,
Bo w domu pranie.
Są kłótnie, jest zdenerwowanie,
Bo w domu pranie.
Strzyka mi w łokciu i kolanie,
Gdy w domu pranie.
Gryzę paznokcie na śniadanie,
Bo w domu pranie.
Z rozpaczy trwam w nietrzeźwym stanie,
Bo w domu pranie.
Już lepiej brudnym być, o Panie,
Niż mieć to pranie.

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

Nieznany dobroczyńca

Urzędnik niższej kategorii, Franciszek Złotolubiec, zamieszkały przy ul. Kwiecistej 5 m. 10, wróciwszy z biura do domu, zastał żonę w doskonałym humorze.

— Wyobraź sobie, co ci tu przysłano — i pokazuje mu kosz pełen najwyborniejszych smakołyków: południowe owoce, wykwintne słodycze, sardynki, trzy flaszki prawdziwego wina i tym podobne delicje, o których zapomniał, że istnieją na świecie.

— To dla mnie? — zapytał obywatel Franciszek ze zdumieniem — Niemożliwe!

— Dla ciebie. Ja to samo mówiłam do posłańca, ale on uśmiechnął się i objaśnił: „Ten pan, który mnie posłał, uprzedził mnie, że będą się państwo wzbraniali przyjąć, jednak polecił mi ten podarek zostawić".

Franciszek sprawdził jeszcze adres: Ob. Franciszek Złotolubiec, ul. Kwiecista 5 m. 10. Wszystko się zgadza.

— Ale ja nie mam dzisiaj imienin. A choćbym nawet i miał imieniny, to nikt by mi w życiu takiego prezentu nie sprawił.

Żona uszczknęła już winogron i zaczęła delektować się ich smakiem.

— Nie ruszaj tego! — krzyknął podniecony Franciszek.

— Czy mi żałujesz?

— Nie. Tylko ja tego nie mogę przyjąć.

— Jakto nie możesz? Przecież ja już dałam posłańcowi 20 zł.

— Wszystko jedno. Muszę odesłać.

— Przede wszystkim nie odesłać — ale oddać, no, ale komu? Posłaniec nie wiedział, jak się nazywa ten, co go posłał.

— Kobieto, zrozum to, że nie wiem, za co to dostałem.

— Zabawny jesteś. Z pewnością niema w tym nic nieuczciwego. Napewno nikt nie zabiega o twoje względy. Cóż byś ty mógł dla kogo zrobić na swojej mizernej posadce?

Franciszek nie obraził się. Przyznał w duchu zupełną słuszność swej połowicy.

— Więc kto to mógł przysłać?

— Może koledzy zrobili składkę, aby sprawić ci przyjemność?

Franciszek roześmiał się głośno, jak z najlepszego kawału. — Gdyby wszyscy moi koledzy biurowi zebrali razem swoje pensje, jeszcze by nie mogli mi zafundować takiego drogocennego kosza.

— To prawda. Zatem nic innego, tylko jakiś anonimowy dobroczyńca. Tacy dobroczyńcy bywają tylko w baśniach albo w powieściach, ale poza wyobraźnią literatów nie istnieją na świecie. Kto to mógł przysłać? — zachodził w głowę. — Naraz uderzył się w czoło. — Wiem już!

— No, kto?

— To on. Tylko on. Mój szef.

Żona, która zajadała się właśnie jakimś smakołykiem, zakrztusiła się nagle.

— Nie śmiej się, bo to nikt inny, tylko on. Zauważyłem od kilku dni, że bardzo łaskawie się do mnie odnosił. Nic dziwnego. Ma we mnie sumiennego, porządnego pracownika. Widocznie chciał mi w ten sposób wyrazić swoje zadowolenie. Jest to nagroda za pilną pracę.

Żona milczała. Wolała już raczej wierzyć w baśni.

Na drugi dzień ktoś wrzucił im do skrzyni kopertę zaadresowaną do Franciszka Złotolubca, a w niej znaleźli większą sumkę pieniędzy.

— No, tak, to tylko mój szef. Przysyła mi pewnego rodzaju premię za długoletnią pracę. I w jaki dyskretny sposób to robi! Widzisz, ocenił mnie jednak. — Franciszek rozczulił się. — To porządny człowiek! A nieraz taki szorstki w życiu. Nawet czasem... niegrzeczny. Ale sprawiedliwy! Jak myślisz, jeżeli on to robi anonimowo, to może uszanować jego wolę i nie dziękować mu za to? Może lepiej nic o tym nie mówić?

— Tak, tak, lepiej nic o tym nie mówić.

Znowu po kilku dniach zjawił się posłaniec, przyniósłszy im razem dwa kupony przedwojennego wełnianego materiału, z adresem „Dla obywatelstwa Złotolubców" i w dodatku piękny bukiet kwiatów z karteczką: „Dla ob. Franciszkowej Złotolubcowej".

— Pomyśl — roztkliwił się Złotolubiec — szef przysłał mi dwa kupony z przydziału, o który nigdy dawniej nie mogłem się doprosić. Tak, nie jestem może najbardziej bystrym z urzędników naszego biura, ale zawsze mówiłem, że uczciwość nie pozostaje bez nagrody.

— A dlaczego kwiaty dla mnie?

— Mój szef to jest dżentelmen. Nie zapomniał i o mojej żonie.

Jednak żona była innego zdania, powiedziała w rozmarzeniu:

— Franciszku, a może te dary wcale nie są dla ciebie?

— Jakto nie dla mnie? — przeraził się Franciszek. — Przecież adres... i sama mówiłaś!

— No, tutaj są przysyłane, niewątpliwie. Ale może... dla mnie?

— Dlaczego dla ciebie? — spytał mąż.

— Może posyła mi to jakiś nieznany wielbiciel... — powiedziała, zarumieniwszy się. — A ponieważ bał się, że uczciwa małżonka nie zechce przyjąć prezentu od obcego mężczyzny, dlatego adresuje do ciebie...

Franciszek obrzucił spojrzeniem mocno przywiędłe wdzięki żony, ale nic nie powiedział. Był także dżentelmenem.

Pomyślał tylko: „Sądzę, że to raczej mój szef".

Chodził teraz do biura z dobrym samopoczuciem, jakie mają ludzie, którzy nareszcie doczekali się uznania. Tak, tak, cnota zawsze w końcu zostanie nagrodzona.

Uśmiechał się porozumiewawczo do szefa, który spoglądał na niego z chmurnym zdziwieniem.

Jednego dnia żona powitała go w podnieceniu wymachując gazetą.

— Franciszek Złotolubiec aresztowany!

— Franciszek Złotolubiec? Co też ty wygadujesz? Przecież widzisz mnie przed sobą!

— No, chyba, że nie ty, tylko ten, który mieszkał na tej samej ulicy i brał łapówki (pokazała gazetę: „Franciszek Złotolubiec", zam. przy ul. Kwiatowej 10 m. 5"). Pan ten, co tu przysłał podarunki, przez pomyłkę widocznie przestawił numery w adresie. Cała afera jest stąd, że doszło do awantury między tym Złotolubcem a pewnym klientem, dla którego nic nie chciał zrobić, mimo, że tamten posyłał mu drogocenne prezenty!

Z żałością spojrzała na zwiędły bukiet kwiatów, który trzymała jeszcze w wazonie.

Natomiast Franciszek popatrzył na kostium żony i swoje ubranie z doskonałego przedwojennego materiału, popatrzył na pewien dostatek, jaki zapanował w ich skromnym dotąd mieszkaniu po otrzymaniu anonimowej sumy i wreszcie na flaszkę prawdziwego wina, którą zostawili sobie na święta i powiedział z przekonaniem:

— A jednak w ten czy inny sposób cnota zawsze zostaje nagrodzona.



Rys. Regina Kańska

— Widzę, że piesek pana hrabiego rośnie...



Zenon Wasilewski.

— Gdzie byłaś w niedzielę wieczorem?
— Ja? Naklamali ci!

Przedruk bez podania źródła wzbroniony. „Rózgi" ukazują się co tydzień. — Redakcja: Łódź Piotrkowska 98 — telefon 212 57 D 08905
Redaguje: Stanisław Sojecki, Stefan Stefański, Henryk Tomaszewski.
Przyjmuje się codziennie od 12-ej do 14-ej. Wydaje „Łódzki Instytut Wydawniczy", Żwirki 17, tel 206 12